Nr. 7. We Lwowie dnia 18. lutego 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ksiądz Piotr Wawrzyniak.

Niewielu ludzi znaleśćby można w Poznańskiem, którzy mieliby prawo na owoce działalności swej spoglądać z równem zadowoleniem, jak ks. Piotr Wawrzyniak.



Imię ks. Wawrzyniaka trwałemi zapisało się głoskami w historji ostatniej ćwierci wieku, w historji naszych walk o utrzymanie w społeczeństwie polskiem żywotności na każdem polu. Zabór pruski zna księdza prałata Wawrzyniaka, jako niestrudzonego organizatora sił naszych, jako obywatela, który wszystkie swej siły zużywa na to, aby kształcić lud w szkole samopomocy, opartej na oszczędności i pracy, aby stworzyć mu silną podstawę materjalną.

Ks. Piotr Wawrzyniak pochodzi z rodziny włościańskiej. Urodził się w r. 1849 w Wyrzece, w powiecie Kościańskim, gdzie ojciec jego miał swe gospodarstwo.

W 19-ym roku życia z odznaczeniem ukończył gimnazjum w Sremie i poświęcił się zawodowi duchownemu. Studja odbywał w akademji w Monasterze (Münster). Po walce kulturnej znajdujemy go jako mansjonarza w Sremie.

Srem — niewielkie prowincjonalne miasteczko w Poznańskiem — był pierwszem polem jego działalności społecznej. Zakreśliwszy sobie terytorjalnie niewielkie, ale wszechstronne pole działalności, tu ksiądz Wawrzyniak wyrósł na działacza społecznego, jakim się chlubić ma prawo Poznańskie. Samo wyliczenie obowiązków, jakie na siebie przyjął w Sremie, a jakie spełniał z zapałem nieustającym od wczesnej młodości aż do lat późniejszych, wystarczy dla scharakteryzowania jego wszechstronnej działalności społecznej: członek dozoru szkolnego, kurator zakładu dobroczynnego Elżbietanek, opiekun Towarzystwa Czeladzi Towarzystwa Terminatorów, Towarzystwa Robotników, założyciel najstarszego w Księstwie Koła Spiewaków polskich, członek Towarzystwa agronomicznego, delegat Towarzystwa Tatrzańskiego, prezes Towarzystwa ku upiększaniu miasta (z wyboru nietylko swoich, ale Niemców i Żydów), członek miejscowego komitetu wy-

borczego, dyrektor Banku ludowego, założyciel szkoły gospodarstwa domowego dla kobiet — ksiądz prałat Wawrzyniak przez czas przeszło dwudziestopięcioletniege pobytu swego w Sremie był duszą tych wszystkich Towarzystw i Związków, zszeregował ludność polską na każdy sposób, nauczył ją praktyczności, postawił jako przykład dla Księstwa, ucywilizował — rzec można — miasto. Pracę jego porównać można do pracy pioniera w amerykańskich puszczach.

Wszechstronna i nad wszelki wyraz skuteczna praca społeczna w Sremie ani wyczerpała sił jego, ani zacieśniła horyzontów; była ona raczej dla niego samego szkołą, wszędzie nabrał zalet, któremi odznacza się w późniejszej działalności: nieocenionej pewności oka w ocenie wszelkich planów akcji społecznej, rzadkiego organizatorskiego talentu, niezwykłej zdolności kierowania ludźmi w ten sposób, że nawet nie czują jego dyrektywy...

I w tem, w tej jego pewności siebie, zdobytej wśród małego zakresu działania, w tej bystrości upatrywać należy tajemnicę jego powodzeń na szerszej widowni.

Około 1880 roku widzimy ks. Wawrzyniaka przy pracy zreorganizowania towarzystw przemysłowych w Poznańskiem i w Prusach zachodnich. Jeszcze nawet nie zaczęła wydawać pierwszych owoców błoga jego działalność gdy nakaz „z góry“ nić jej przeciął.

W roku 1891 został ks. Wawrzyniak wybrany na patrona Spółek zarobkowych; tu w całej pełni okazał swe rzadkie zdolności. Urząd patrona — to nie tytuł, to raczej szereg rozmaitych, trudnych i wyczerpujących zdrowie obowiązków, to urząd, pełen mozolnej i ścisłej pracy, połączony z wielką odpowiedzialnością wobec prawa i władzy z jednej strony, a wobec własnego społeczeństwa z drugiej strony.

Gdy zważymy, że do patronatu należy obecnie około 125 spółek, rozrzuconych po całem Poznańskiem i Prusach zachodnich, — że patron musi je raz w rok, a czasem częściej odwiedzić, skontrolować, zreorganizować i czuwać nad ich działalnością, pojmiemy, jaki ogrom pracy spoczywa na jego barkach.

W samych spółkach jest kontrolerem ich prawidłowej działalności, wobec społeczeństwa na nim cięży odpowiedzialność za los milionów, zaoszczędzonych przeważnie przez biedaków i złożonych do naszych instytucji. On czuwa nad regulowaniem obrotów pieniężnych, on daje impuls do zakładania nowych spółek.

Po każdym jego objeździe po kraju wyrastają jak z pod ziemi nowe spółki, nowe Towarzystwa, nowe przedsiębiorstwa, znacząc w ten sposób drogę, którą przejechał. W spółkach lubią go wszyscy, ale go się też i boją znając jego baczne oko i nieugięty upór w dążeniu do osiągnięcia zamierzonego celu.

Mówi mało, jest w słowach zwięzłym, ale dobitnym. W tonie głosu znać człowieka, który wie co mówi, po co mówi i co z tego ma wyniknąć. Słów nie rzuca nadarmo. To też na zebraniach zarządów wzrok obecnych zawisa

---

Po omacku...

Noc.

Straszna i cicha noc. Czarne, ołowiane chmury zwieszają się nad ziemią, a w każdej drzemie sto piorunów, które we mgłę tajemniczą owinęły śmierć — nie śpią — czekają — przyczaiły się, jak węże, i łagodnie drzemią...

Ubitym szlakiem dąży tłum. Nieprzejrzana mnogość ludu szerokim idzie gościńcem. Na lewo dół — na prawo pola nieznane — a przed oczyma ciemność i drogi nie widać: kędy się skręca, w którą stronę, do jakich wiedzie horyzontów..

Idący na przedzie czynią wrażenie ludzi, którzy stoją na rozdrożu pomiędzy życiem, a śmiercią. Konieczność wysunęła ich naprzód, jedynie ta konieczność, że przecie zawdy ktoś musi być na przedzie, jeżeli tłum nie dąży rozwiniętym, jednym szeregiem. Los przypadkowy uczynił ich czołem — a na to czoło strach blady wystąpił i osmęcił je... I stali się mimowoli trupią czaszką narodu.

Za nimi nieprzejrzana mnogość ludu, płynąca ciżbą, zdaje się nie myśleć o drodze swej, pozostawiając, w dowód zaufania i wspaniałomyślnej łaski, ten słodki ciężar idącym na przedzie, za który owi składają im dzięki sercem od strachu drżącem i uśmiechem konających z nadmiaru władzy.

Zwolna, ostrożnie posuwa się ten pochód żywych po straconym szlaku. Szeregi przodujące zimny dreszcz przechodzi, ilekroć czują spadek pod stopami, ilekroć ziemia poczyna się chwiać.

Uparcie wzrokiem przebijają mgłę — źrenice same rosną w tej ciemności — a droga na jeden krok z przed oczu traci się i ginie i roztapia się w nieskończoności czarnej, ołowianej nocy...

Zrozpaczeni, poczynają wątpić, że istnieje dzień. A poczynają wierzyć, że słońce wypaliło się doznaku i zgasło, że księżyc, gwiazdy i wszelka światłość zaginęła — została jeno nieskończona ciemność i wiecznie, wiecznie, wiecznie będzie trwać...

Bogowie jaśni pomarli, zwyciężeni przez bogów ciemności, którzy przez to utwierdzili

zawsze, na jego ustach, gdy mówi, a jedno mimochodem nieraz rzucone słowo wywiera skutek zarzuconego na kapryśnych wędzidła. Zresztą wesoły, towarzyski, jowialny.

Obok swego patronatu, który koncentruje jego działalność społeczną, jest ks. Wawrzyniak kuratorem Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, a w ten sposób niejako kierownikiem tranzakcji bankowych pomiędzy organizacją kredytu polskiego a rządową kasą dla spółek.

W roku 1894 otrzymał ks. Wawrzyniak mandat poselski. Jako poseł wziął udział w zasadniczym odwrocie polityki polskiej z manowców ugody polsko-pruskiej. Pobyt w Berlinie dał mu sposobność przyjrzenia się życiu kolonji polskiej i pozostawienia wśród niej trwałych śladów swej działalności. Jest to wogóle człowiek, zasadniczym rysem charakteru którego jest to, że gdy w wędrówce życiowej widzi gdziekolwiek i kiedykolwiek potrzebę pracy, potrzebę kierującej dłoni — nigdy się od pracy nie uchyla. Ks. Wawrzyniak nie mija w życiu żadnej sposobności do czynu. Czyn jest potrzebą jego życia, jego przyzwyczajeniem -- wypływającem wreszcie z charakteru. Pomimo tej wszechstronności działania myśl i praca jego nie jest rozstrzeloną.

Niezwykłą posiada zdolność do łączenia różnorodnych celów i zamiarów w ten sposób, aby jednym kosztem wielorakie osiągnąć rezultaty. Zasiada w lokalnej powiatowej władzy wyborczej polskiej, przeprowadza uchwałę, że władza ta ma funkcjonować jako sąd polubowny dla rozstrzygania zachodzących wśród mieszkańców powiatu sporów, a w ten sposób wzmacnia i powagę komitetu wyborczego i kładzie tamę włóczeniu się po sądach niemieckich kosztem polskiego grosza i wpaja w ogół poczucie solidarności narodowej. Odbywa się gdzieś w zapadłym kącie wiec wyborczy — ksiądz Wawrzyniak przemawia o potrzebie założenia spółki; poddaje inicjatywę jednemu z obecnych, który występuje z projektem założenia Spółki zaraz — po zebraniu zbiera się podpisy: spółka założona a uczestnik wiecu politycznego, wracając do domu, mimowoli spostrzega, że on nietylko jest na wiecu potrzebny jako pionek, jako głos — ale że solidarność narodowa korzyści mu zapewnić może.

Ksiądz Wawrzyniak posiada przytem wielką zręczność i, powiedziałbym prawie, — zdolność łączenia ludzi, różniących się usposobieniem, charakterem i pojęciami, gdy chodzi mu o stworzenie pożytecznego dzieła. Nie jest wymowny ale to, co mówi i jak mówi, posiada wielką siłę przekonywującą, rzeczy najtrudniejsze wydają się łatwemi, trudności napotykane naturalzemi, ale możliwemi do przezwyciężenia. Po wyświetleniu kwestji przez niego w sposób naturalny ale taki, że go poprzednio nikt trafnie nie odgadł, każdy mimowoli myśli: „zupełnie moje zdanie“.

Widywałem przed laty księdza Wawrzyniaka na posiedzeniach komitetu wspierania nędzy polskiej w Berlinie, później na wiecach ludowych, na konferencjach w zamkniętem gronie, gdzie chodziło o kwestje finansowe, wreszcie w kuluarach sejmowych — a wszędzie i zawsze robił wrażenie człowieka, który w każdej okoliczności zachowuje taki spokój, jak gdyby wszystkie trudności napotykane uważał tylko za jakiś wstęp do „prawdziwej“ walki z życiem, za próby, ale nie rzeczywiste trudności.

Jest to człowiek, który nie wie, co to jest brak czasu, lub brak humoru, — człowiek żelaznego, zahartowanego zdrowa, szerokich barek i potężnego wzrostu, pogodnego umysłu i silnej prawicy, człowiek, którego wystąpienia na wiecach, wśród ludu, gdzie się czuje najlepiej, przypominają nieraz ustęp z Pana Tadeusza, gdy ksiądz Robak ujàwszy w silne dłonie Assesora i Rejenta, łbami ich tłukł o siebie, wołając: Pax, pax vobiscum!

Można sobie wyobrazić, jak różnorodne żądania stawiają mu nieraz ludzie czy to z tytułu jego kapłańskiego stanu, poselskiego mandatu, lub też jako wprost społecznemu działaczowi, który ma „szczęśliwą rękę“. Dwóch kupców polaków się wadzi — ksiądz patron ma ich Pogodzić; gazeta podupada — puka do księdza patrona; obywatele chcą gdzieś założyć spółkę —- piszą po informację do księdza patrona; przedsiębiorstwo jakie potrzebuje kre-

---

panowanie swoje, że odebrali pamięć ludziom o wiekuistem świetle... A na początku była noc... Piekło wygasło — pozostały jeno sadze... Aniołowie służą odtąd bogom ciemności.

A są pomiędzy idącymi, którzy z rozpaczy uwierzyli w Noc, nie zapomnieli jednak dawnej wiary swej — w promienne Słońce.

Ci z utęsknieniem wyczekują świtu.

Lecz niema ani jednego człowieka pośród nieprzeliczonych rzesz, któryby wzrokiem przeleciał tę ciemność, opętującą świat, zmógł ją i uczynił oknem otwartem na nieznane pola, występujące krajobrazem zdumionemu oku — któryby chociaż światłem meteoru zakreślił jasny łuk — oświetlił drogę — i pod stopami, wypalony, zgasł...

Niema człowieka pośród idących rzesz.

Czarne, ołowiane chmury zwieszają się nad ziemią — a w każdej drzemie sto piorunów, które we mgłę tajemniczą owinęły śmierć — nie śpią — czekają — przyczaiły się, jak węże, i łagodnie drzemią... *Wł. Orkan.*

dytu na rozszerzenie zakresu — ksiądz patron z pewnością wskaże drogi, jak uzyskać kredyt; oficjalista stracił u Niemca miejsce — ksiądz patron ma wyszukać nowe; gmina wiejska niezadowolona z germanizatora nauczyciela — ksiądz patron ma u „ministra“ wyjednać przeniesienie go w inne miejsce.

A ksiądz Patron wszystkie te prośby przyjmuje, tysiączne załatwia, z uśmiechem wytrawnego znawcy ludzi i ludu przyjmuje życzenia tych, którzy w nim widzą krezusa, mogącego zaklęciem swem miljony wydobyć z pod ziemi, i potęgę, z którą się liczą ministrowie i — robi, co jest w stanie zrobić.

Lecz napróżno biedzę się nad odtworzeniem tej wyjątkowej postaci, która mi żywo stoi przed oczyma. Kto chce poznać księdza patrona, niech lepiej uważnie przeczyta to, co on sam o sobie napisał w komunikacie do spółek dnia 7|VI 1897, gdy mu robiono zarzut, że jakiejś fałszywej pogłoski, będącej w obiegu, w interesie Spółek nie sprostował: „muszę zastawić się tem, że n i e j e s t e m o d p i s a n i a, t y l k o o d d z i a ł a n i a“ *Dr. Kazimierz Rakowski.*

Wyodrębnienie Galicji.

VI.

Czy wyodrębnienie Galicji może mieć szanse ekonomicznego rozwoju?

Powiadają niekiedy: Galicja jest krajem zbyt biednym, żeby mogła rozwijać się po wyodrębnieniu. Brak kapitałów uniemożliwi rozwój ekonomiczny kraju, albo przyjdą kapitały obce i będą wyzyskiwać Galicję. Stan materjalny kraju nie da możności opędzać jego potrzeb publicznych w tym stopniu, jak one są dziś zaspakajane przez skarb ogólno-austrjacki. Zresztą odrębności celnej nie uzyska Galicja, jak jej nie posiadają jeszcze Węgry, cóż więc dla rozwoju przemysłu będzie można zrobić w wyodrębnionej Galicji?

Rozpatrzmy po kolei wszystkie te zarzuty:

Czem jest wywołany brak kapitałów w Galicji? Są dowody, że w obecnej Galicji trudniejszą rzeczą jest produkcyjne umieszczenie kapitału, ale nie brak jego. Galicja jest krajem biednym, mało rozwiniętym ekonomicznie, ale w tym kraju mało ludzi czyni oszczędności, dużo kapitalików wytwarza lichwę, handel i pośrednictwo handlowe, kapitały gromadzą się, ale nie pozostają w kraju, wzbogaceni żydzi wynoszą się do Wiednia, arystokracja polska lokuje swe kapitały w bankach zagranicznych. Ostatnie wypadki w Kasie oszczędności powstały też na gruncie trudnych warunków lokacji kapitałów, nagromadzonych w bankach, co musi wywoływać lekkomyślne udzielanie kredytu.

Brak kapitału nie jest w Galicji główną zawadą przemysłowego rozwoju. We wszystkich niemal krajach przemysł rozpoczynał swój rozwój z kapitałami obcymi. Obce kapitały w przemyśle bynajmniej nie są nieszczęściem, kapitały swojskie są bezwarunkowo pożądańsze, bo znaczna część ich dywidendy pozostaje w kraju i przysparzając bogactwa krajowi, wytwarza siłę społeczną, niweczącą wpływ szlachetczyzny.

Drobne mieszczaństwo skłonnem jest do uskarżania się na wyzysk przez kapitały obce. Wyzysk Galicji przez kapitały obce, pracujące poza granicami kraju, istnieje, wyzysk przez kapitały, pracujące w kraju, byłby znacznie pożądańszym, gdyż kapitały te zatrudniałyby pracę w kraju i zużytkowywałyby materjały surowe w kraju, dziś za granicę idące.

Galicja jest krajem biednym, a więc sądzą, że spólnictwo Galicji z innymi krajami Austrji wychodzi na korzyść Galicji, potrzeby Galicji są zaspakajane przez znacznie bardziej w środki zasobny skarb austrjacki.

Wspominaliśmy o upośledzeniu Galicji pod względem regulacji rzek i sieci kolejowej.

W innych krajach koronnych na 1 km. kolei przypada od 527 (Salzburg) do 1188 (Czechy) mieszkańców, w Galicji wykładnik wynosi 2276.

Pod względem szkół średnich, na które główne wydatki ponosi państwo, jest Galicja upośledzoną w ciągu konstytucyjnej izby bardziej, niż którykolwiekbądź inny z krajów koronnych, widać to z wolnego wzrostu szkół średnich w Galicji i w innych krajach austrjackich.

Było szkół średnich	w 1861	w 1887	
„ w Galicji	21	31	48%
„ w Czechach	31	70	126%
„ w Morawach	13	37	185%
„ w Austrji d.	14	41	193%

Galicja daje do skarbu państwa, bezwarunkowo, sumę nieodpowiadającą ani jej zaludnieniu, ani też rozmiarowi, ale bierze też na swe potrzeby nie więcej, jak to co opłaca w formie różnych podatków państwowych. Z Galicji ogół głównych dochodów skarbu państwa z podatków bezpośrednich, pośrednich, monopolów z opłat należytości i ceł podług preliminarza budżetowego za rok 1897 podaje Rutowski na 67,033,440, zastrzegając przytem, że dochód faktyczny jest większy, gdyż niektóre rubryki dochodów podano tylko jako czysty dochód. Suma powyższa stanowi 12.15% ogólnych dochodów austrjackich. Udział Galicji w dochodach państwowych jest jednak znacznie większy, gdyż kraj ten, konsumując wyroby przemysłowe innych krajów koronnych opłaca spożywcze podatki, które chociaż wnoszone do skarbu państwa przez fabrykantów czeskich i niemieckich, opłacają się jednak przez konsumentów tych wyrobów, mieszkających w różnych krajach koronnych.

Ogół wydatków państwowych, państwa na Galicję podług preliminarza budżetowego na 1897 r. wynosi 14.75%. Istnieje więc pozorna nadwyżka w wydatkach na Galicję, nadwyżka buhalteryjna, ale nie faktyczna. Przy przyznaniu krajowi dochodów z podatków spożywczych od wyrobów konsumowanych w kraju, nadwyżka ta znikła by w zupełności.

Jeżeli przyjrzymy się wydatkom różnych ministerjów na Galicję, to zobaczymy znaczne wydatki na cele nieprodukcyjne, stosunkowo małe na to, co mogło być dźwignią kraju: na szkolnictwo i cele przemysłowe. Naprzykład na administrację polityczną wydaje się przeszło 24% wydatków ogólno-państwowych, idących na ten cel, gdy na szkoły przemysłowe około 8%, subwencję na szkolnictwo rolnicze i kulturę krajową 12,25 w 1896 r., 12.47% w 97.

Jeżeli by Galicja została wyodrębnioną lub przynajmniej uzyskała by to, czego domagano się w rezolucji 1868 r. tj. pozostawienia do rozporządzenia kraju ogólnej sumy wydatków, na jego potrzeby ponoszonych, wówczas mogła by przez odpowiedniejszy rozkład swych wydatków znacznie lepiej zaspakajać swe potrzeby. (C. d. n.)

WASYL STEFANYK.

Kamienny krzyż.

II.

Gości u Iwana pełna izba, a to samych gazdów i gospodyń. Iwan posprzedał wszystko, co miał. Synowie z babą naparli się do Kanady — i cóż było robić? Stary musiał w końcu przystać.

Sprosił całą wieś.

Stał wobec gości, trzymał porcję wódki w prawej ręce i, widać, skamieniał doznaku, bo słowa nie mógł wyrzec.

— Dziękuję wam bardzo pieknie, — wykrztusił nareszcie — żeście mnie uważali za gazdę, moją za gaździnę...

Na tem przestał i do nikogo nie przypił, jeno tępo spoglądał przed siebie i kiwał głową, jakby się modlił i na każde słowo modlitwy głową potakiwał.

Bywa, że czasem przypadek jakiś wyrzuci wielgi kamień z wody i złoży go na brzegu, a on leży w bezruchu wiecznym, ciężki i bezduszny. Słońce odłupia z niego szczepki starego namułu i maluje po nim maleńkie, fosforyczne gwiazdki.

Świeci ten kamień martwymi blaskami, odbitymi od wschodu i zachodu słońca, kamiennemi oczyma patrzy w żywą wodę i sumuje, że nie gniecie go ten ciężar fal, co go parł od wieków. Tak patrzy na te fale, jak na miniony los, jak na stracone swoje szczęście.

Tak Iwan akuratnie patrzył się na ludzi, jako ten kamień z brzegu na kotłujący wir. Potrząsł siwą czupryną, niby grzywą, wykutą ze stalowych nitek, i powtórzył:

— Jeszcze raz wam dziękuję bardzo pieknie. Ta niech wam Bóg da, co se od Niego żądacie. Daj wam Boże zdrowie, Michale...

Podał sąsiadowi nalaną porcję, całowali się po ramionach i pili.

— Daj wam Boże, sąsiedzie — podziękował Michał — Daj wam Boże pożyć jeszcze długo na tym świecie; ta niech Bóg miłosierny doprowadzi was szczęśliwie na miejsce i dopomoże łaską swoją przenajświętszą znowu na nowo ostać gazdą...

— Dyć, żeby Pan Bóg pozwolił.. Proszę was, moi drodzy, wypijcież do reszty. Myślałech ci ja, że was za stołem poobsadzam, jak

przyjdziecie na synowskie wesele — hale cóż? Inaczej padło... Tak jakosi nastało na tym świecie, że czego nasi dziadowie i ojcowie nie zaznali — my musimy zaznać. Boska wola! Daremno! kto na to poradzi? Kontetujcież się już tem, co jest, a za resztę wybaczcie.

Nalał porcję wódki i podszedł do bab, które siedziały na drugim końcu stołu przy samej pościeli.

— Tymoficho! — zwrócił się do jednej z kum dalszych — Chciałbych się do was napić. Nie dziw! Patrzę na was, patrzę — i młode mi się powracają lata. Gdzie to, gdzie-e! Była z was istnie walna dziopa. Że to aż hej! Toch przecie niejedną noc zawami schodził, a w tańcu to-ście latali, jak wrzeciono, wypuszczone z ręki, tak równiusienko. Ba! Co to dziś? Kany to, kumo, tamte nasze lata, oj. kany!,. Ha, no pijcie, proszę! Ta wybaczcie, żech na staroś i o tańcu wspomniał. Czasem się to wszystko wraca, nie wiedzieć, po co...

Spojrzał na swoją starą, płaczącą rzewnie między kumoszkami i wyjął z za pazuchy chustkę.

— Stara, naści chustkę, weź, ta dobrze się obetrzej, żebych ja tu żadnych płaczów nie widział. Gości dopilnuj, bo na płacz niemało jeszcze będzie czasu, jeszcze się tak napłaczesz, że ci źrenice doznaku wyciekną.

Odszedł do gazdów i pokręcił głową. —

— Coś bych wam miał rzec, ale już niech lepiej cicho bedę .. niech uszanuję te obrazy i was, jako ludzi grzecznych, poćciwych. Telo wam ino powiem, że nie daj Boże nikomu dobremu przejść na babski rozum!... A o! jak płacze teraz — ta kto ci to winien? może ja? powiesz... To ja cię może wyciągam z chałupy na staroś? Cicho bądź nie chlipaj mi tu, bo ci te siwe kosmyki doznaku z głowy powyrywam i pójdziesz do tej Ameryki, jak prosta żydówka... Bedziesz widzieć!

— Kumie Iwanie! — wypadło z za stołu — dajcież tam już spokój tej swojej babinie. Przecież ona wam nie żaden wróg, ani dzieciom swoim... żal jej za wsią, za rodem swoim, ta i płacze.

— Tymoficho, jak dobrze nie wiecie, to nie gadajcie ani słowa! To jej żal, a ja może stąd w podrygach wychodzę?

Zazgrzytał zębami, jak na żarnach, pogroził żonie pięścią i grzmotnął się w piersi.

— Weźcie, zatnijcie mi siekierę tu... w samą wątrobę, to może choć żółć pęknie, bo już nie wytrzymam! Taki żal mnie porywa, ale to taki, że już sam nie wiem, co się ze mną dzieje... Ot, warjactwo...

III.

— Proszę was, moi drodzy, weźcież bez ceremonji i wybaczcie, bo my już w podróży. Mnie staremu nie dziwcie się, że i trochę na babę następuję, ale to nie za darmo, oj, bo nie za darmo! Nigdyby do tego nie przyszło, kieby nie ona i synaczkowie kochani. Bo to, uważacie, piśmienni są... Skoro dostali jakies pismo do rąk, skoro dostali jakąsić tam mapę, tak zaczęli starą molestować, prosić i namawiać — aż wreszcie i przemogli. Przez caluteńkie dwa roki nic się w chałupie nie słyszało ino: Kanada i Kanada, wiecznie Kanada!... I jak mnie, wicie, przycisnęli, skoro już widzę, że jednako mi się gryść na staroś — tak tu, jak i tam — takem ci wziął i sprzedał wszystko do okruszyny... Synowie moi bali się sługować po mojej śmierci i powiadają: „Kieś ociec, to nas żyw! Abo nam ostaw telo gruntu, coby my wszyscy mieli na czem siedzieć.,.“ A ten grunt, mocny Boże! Jakby padło do podziału, toby się wronie na ogon dostało, nic więcej. Trudna rada! Niech im ta Bóg da jeść ten światowy chleb spokojnie, bo mnie już łatwiej paść na tym zagonie. Kany to mnie staremu do wędrówki! Ja chyrlak, całe życie przeharował; kości spróchniały doznaku, zanim je rano, wstając, do kupy ściągniesz, to dziesięć razy zastękasz boleśnie. — To już przepadło! mój Iwanie.. A wy nie dajcie przystępu żalowi, bo was pożre. Może być, jak nam pokażecie drogę, że wszyscy pójdziemy za wami. Za tym krajem nie warto lamentować. Ta ziemia nie zniesie tyle narodu, co się go namnożyło i tyle biedy nie ścierpi. Daremno! Chłop nie może i ona nie może, oboje nic nie mogą. A podatków przybywa z roku na rok coś płacił reńskiego, to teraz pięć. Coś jadał słoninę, to teraz ziemniaki. Żeby się jeszcze udarzyły! To chwała Bogu. Oj, zdarli nas! doznaku ołupili ze skóry... Tak nas wzięli w te ręce żelazne, że nikt się nie zdoła z nich wydostać... Chyba śmierzć go jedyna wybawi. Ale kiedyś na tej ziemi bedzie strach bo narod się porznie!.. Wierzcie mi święcie, że tak bedzie — i nie macie tu czego żałować.

— Dziękuję wam za to słowo, moiściewy, kochani, drodzy, ale go nie wezmę pod uwagę, bo się na nic nie przyda. Pewnie, że ludzie się porzną. Niema o czem i gadać. Aleć Pan Bóg z wysoka patrzy — nie gniewa. On się to na takich, co ziemię puszczają na handel? Teraz już nikomu nie trzeba tej ziemi, ino pieniędzy, dmuchać — ta niech dmuchają. Pan Bóg drzewiej cuda tworzył na puszczy — może się i zlituje nad biednym narodem i naocznie pokaże niedowiarkom, że jest Panem Bogiem, jak drzewiej... Obaczy, kto dożyje, bo ja się ta już nie spodziewam. A popatrz ie się na te stare skrzypce, — wskazał okiem na żonę — to i ją trza puszczać na handel? Ta-że to spróchniała wierzba, palcem trącisz, to się na nic rozsypie. Myślicie, że ona zajdzie na miejsce? Przewróci się to gdzie po drodze, ta psy ją rozwleką po świecie, a nas popędzą dalej i obejrzeć się nawet nie dadzą za matką... Skąd takim dzieciom ma Bóg błogosławić? Stara, chodź-ino!

pieniędzy, pieniędzy! A tu skąd je brać, jak ziemia z pod nóg ulatuje? Mądrzy ponastawali gazdowie, ci młodzi! Z wiatru chcą pieniądze.

Przyszła Iwanicha, stara i zasuszona, jak śliwa za okołem bez liści stojąca. — Kaśka, co ty sobie, niebogo, w twojej głowie myślisz? Czy ryba cię ma zjeść? Ta tu porządnej rybie nie ma co na jeden ząb... A ot!

Naciągał babie skórę na zeschniętej ręce i pokazywał ludziom.

— Skóra i kości. Gdzież się to temu tłuc po obcych krajach? Byłaś porządną gospodynią, ciężkoś pracowała, nie letko i chwili nie spróżniaczyłaś w swojem życiu — aleś się na starość wybrała w zadaleką drogę... A-o! Spojrz tam, gdzie twoja droga i twoja Kanada... widzisz?

I pokazywał jej przez okno cmentarz bliski, samotny.

— Nie do Kanady, to w insze strony pódziemy światami i rozwiejemy się na staroś marnie, jako te liście po jesiennych polach. Bóg wie, co z nami bedzie... Chciałbych jeszcze tu pożegnać się z tobą przed tymi ludźmi naskimi. Tak, jak-eśmy na życie ślub przed nimi brali, ta się tu pożegnamy przed nimi na śmierć... Może ciebie tak rzucą w morze potajemnie, że ja cię nie będę widział, a może i mnie rzucą kany, że ty mnie nie obaczysz, to przebacz-że mi, stara, com ci nieraz dokuczył, com cię kiedy może i pokrzywdził... daruj mi, daruj... i po pierwszy i po drugi i po trzeci raz...

Całowali się. Stara wpadła Iwanowi w ramiona, a on poszepnął z żalem: — A to cię, niebogo moja, w daleką powiezę mogiłę...

Ale tych słów już nikt nie słyszał, bo od babskiego stołu nadleciał płacz — jak wiater, który po ostrzach powiał — i pochylił głowy chłopskie na piersi... (Dok. nast.)

Błędy językowe.

Dbając o nieskażoną czystość języka rodzinnego, przesyłam kilka uwag nad błędami językowymi dla umieszczenia ich w „Tygodniu“.

I tak naprzód muszę wystąpić przeciwko ogromnie rozpowszechnionemu, a zupełnie błędnemu wyrażaniu się: *miejsce stojące*, *miejsce siedzące*, *zabawa tańcująca* itp. Prawdopodobnie błędne wyrażenia te wynikły z fałszywego tłumaczenia wyrazów niemieckich: Standplatz, Sitzplatz. Błędność tych wyrażeń jest oczywiście widoczna zaraz na pierwszy rzut oka. Przecież ciało martwe bez działania na nie siły zewnętrznej, ani ze stanu spoczynku w ruch, ani z ruchu w stan spoczynku wprawionem być nie może. Sprzeciwia się to najprymitywniejszym pojęciom ludzkiego rozumu, sprzeciwia się zarazem i prawidłu fizycznemu. Jeżeli „Sitzplatz“ oznacza „miejsce siedzące“, w takim razie „Trinkglas“ należałoby przełożyć na polskie jako „szklanka pijąca“. Oczywiście do tak błędnego wyrażania się przyczyniła się ta dążność, ażeby możliwie najkrócej wyrazić te pojęcia, jeżeli już nie można jednym, to przynajmniej dwoma wyrazami, byle tylko nie więcej. (Np. tu musiałoby być, mówiąc poprawnie: miejsce do siedzenia). W każdym razie — zdaniem naszem — lepiej więcej słów użyć, a wyrazić się poprawnie, aniżeli, skracając definicję, popełniać nonsensy.

Dalej zwrot: *większa połowa*. Także bardzo zakorzeniony, a błędny. Przepoławiać, znaczy podzielić ciało jak eś na dwie równe, przystające do siebie części. Nb. więc obie części mają być równoważne, ani jedna, ani druga — większą. Bo jeżeli jedna z tych części jest większą, nie może do drugiej przystawać, a temsamem nie może stanowić części, równej części drugiej. Błąd ten nawet dość rozpowszechniony u poprawnych pisarzy.

Potem musimy wystąpić przeciwko fałszywemu użyciu zwrotu: *od czego zależy*, który to zwrot bywa często używany zamiast zwrotu: *na czemś polega* i *zależy na czemś komuś*.

Można więc powiedzieć: „Napoleonowi przedewszystkiem zależało na tem, by Anglję upokorzyć“, lub: „spełnienie naszych życzeń zależy od wielu okoliczności“, ale nie można powiedzieć: „Posty zwyczajne zależą *na* wstrzymaniu się od mięsa w pewne dni“ (X. Puszet. Etyka), lecz tu należy użyć zwrotu: polega na... Mówi się albo: Będę robił, albo robić będę, więc w takim razie bezokolicznik musi poprzedzić słowo posiłkowe, nigdy zaś „będę robić“, bo to najczystszy germanizm. Zwrot: „jestem śpiący“, lepiej zastąpić prostem: „spać mi się chce“, bo tamten zwrot i nielogiczny i gramatycznie niepoprawny. Również błędne zrozumienie rzeczy może wyniknąć wskutek niewłaściwego użycia słów: *z wyjątkiem* i *oprócz*. Jeżeli używamy: oprócz, wtedy do wyliczanych rzeczy włączamy i tę rzecz, przy której kładziemy to słowo: oprócz. Np.: „W drugim rozbiorze Polski Prusy zabrały *oprócz* Torunia i Gdańska, Wielkopolskę, Kujawy etc., bo Gdańsk i Toruń otrzymały, ale otrzymały nadto inne ziemie“. Ale nie można powiedzieć: „W pierwszym rozbiorze wzięły Prusy, oprócz Gdańska i Torunia, Warmję etc., bo wtedy otrzymały Warmję, Pomorze, Prusy Królewskie etc., ale nie otrzymały Gdańska i Torunia“. (Błąd ten w hist. Zakrz.) W tym więc wypadku należy użyć: z wyjątkiem, które wyklucza rzecz daną od innych rzeczy wyliczanych.

Smolka.

Z pism i książek.

Kazimierz Wróblewski. „*Bronisław Trentowski*. (1807—1869)“ Szkic biograficzny. Lwów. Tow. wydawnicze 1899.

Dziełko p. Wróblewskiego zapełnia istniejącą dotychczas w naszej literaturze lukę. Nie jest to wprawdzie

wyczerpująca monografja o Trentowskim i autor nie rości sobie żadnych pretensji pod tym względem, zaznaczając sam w przedmowie, że nie zamierza rozstrzygać pytania czy i o ile system filozoficzny Trentowskiego jest oryginalny; — ale bezpretensjonalność ta zasługuje na tem większe uznanie, że p. Wróblewski w swym „Szkicu biograficznym" więcej dał, niż zapowiedział, dał bowiem z niemałym trudem zgromadzony materjał bjograficzny, umiejętnie go zestawił, własnemi uwagami i spostrzeżeniami opatrzył i, nie ograniczając się do suchego komentowania biegu życia naszego filozofa, biografję jego umiejętnie powiązał z wypadkami epoki. Jedną z wielkich zalet książeczki p. Wróblewskiego jest dyskretne że się tak wyrażę — oświetlenie wewnętrznej walki, która się odegrała w duszy Trentowskiego, zanim zdecydował się pisać po polsku.

Pozwoli jednak autor, że zwrócimy jego uwagę na dwie niedokładności, które zaciemniają w jego książce pogląd na stosunek Trentowskiego do kraju, mianowicie do tak rozbudzonego umysłowo wówczas księstwa Poznańskiego.

W lipcu 1843 r., tak pisze p. Wróblewski, bawił Trentowski w Poznaniu i miał tam prelekcję publiczną w sali Bazaru poznańskiego. Z zacytowanych dalej słów Trentowskiego, pełnych patrjotycznego zapału i obaw, że patrjotyzm ściągnie na głowę filozofa gromy rządu pruskiego, zdawać by się mogło, że patrjotyczna prelekcja Trentowskiego, nagrodzona została ze strony słuchaczów serdecznem uznaniem, a ze strony policji — wydaleniem. Tymczasem w opisie tej wizyty w Poznaniu, Trentowski swoim zwyczajem sobie podchlebił, a prawdę zataił. Pominąwszy już to, że nie w 1843 r. ale w roku 1844-ym bawił w Poznaniu, Trentowski fatalne tam fiasko zrobił. Jak opowiada Jarochowski (Literatura Poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia), prelekcja jego nacechowana była wielce nieokreśloną dążnością i niejasno sformułowaną treścią; co gorsza, zawierała apoteozę państwowej kreacji Fryderyka II. pruskiego. Niewiadomo, jakie motywy kierowały Trentowskim w wyborze tak dziwnego w ustach patrjoty-wygnańca poglądu, to jednak pewna, ze oburzona publiczność (a nie zapominajmy, że była to publiczność inteligentna) przyjęła jego prusofilskie wywody pukaniem i gwizdaniem, tak, że wśród zgodnych okrzyków oburzenia całego zgromadzenia, biedny Trentowski opuścił salę. Dzięki tej aferze nakazano mu opuścić natychmiast Poznań. Tak się zakończył pierwszy debiut Trentowskiego. Umyślnie poświęcamy szczegółowi temu nieco obszerną wzmiankę, ponieważ tłómaczy on antagonizm, jaki w następstwie wywiązał się pomiędzy Trentowskim a „recenzentami" jego w piśmiennictwie poznańskiem. Nie imię ofiary patrjotyzmu, lecz zarzut braku patrjotyzmu ściągnął na Trentowskiego pobyt w Poznaniu.

Antagonim ten, któremu zarówno Trentowski, jak i krytycy poznańscy niejednokrotnie dali dobitny wyraz, tłómaczy nam również nieżyczliwe i, powiedzmy otwarcie, niepiękne zachowanie się Trentowskiego wobec nieudanego powstania poznańskiego w roku 1846-ym. Gdy się bowiem toczył w Berlinie proces przeciw uwięzionym patrjotom, wystąpił Trentowski z broszurą „Wizerunki duszy narodowej", w której nie szczędził szyderstw i pastwił się nad tymi, o los których drżało wówczas całe Poznańskie. Jak pisze p. Wróblewski, Z. Krasiński odradził Trentowskiemu wydanie tej pracy pod własnem nazwiskiem, „aby nie zamknął sobie wstępu do Poznańskiego, gdzie i tak osoba jego nie była w łaskach policji". Tymczasem jeśli Krasiński odradził Trentowskiemu przyznawania się do autorstwa, to pewnie nie przez wzgląd na policję pruską, lecz raczej przez wzgląd na opinię publiczną. Książka ta, o której mówi dalej p. Wróblewski, że „dziś jeszcze może służyć społeczeństwu niejedną uwagą zdrową i radą zbawienną", niebywałe wśród patrjotów (między którymi widzimy Marcinkowskiego, Libelta) wywołała oburzenie, a to tem większe, im większe na razie zrobiła wrażenie. Wł. Kosiński w broszurze swej p. t. „Sprawa polska z r. 1846." (wyszła w 1850 r.) pisze o tej książce Trentowskiego: „Wolno było krytykować środki, któremi dopiąć tego celu zamierzaliśmy, ale od prześladowania (ze strony swoich) cel święty sprawy naszej powinien nas był ochronić, a pismo (Wizerunki duszy narodowej) które np. na Edwarda Dembowskiego tak haniebne rzuca potwarze, które go wściekłym demagogiem nazywa, które mu wyrżnięcie szlachty galicyjskiej przypisuje, pismo takie powinno było jako złośliwy stek intryg i brudów, a zarazem głupoty politycznej, nie mieć nawet przystępu do domu uczciwego Polaka".

Nie dziwmy się, że współcześni tak ostry sąd o dziełku wydali, w którem Trentowski chciał sobie dać rewanż niechlubny za swe pierwsze niepowodzenie w Poznaniu, bo w wydanych w czterdzieści lat później pamiętnikach A. Guttrego sąd o owem dziełku (w zastosowaniu do ówczesnego położenia) złagodniał co do formy, nie zaś co do treści. A co więcej: gdy w roku 1848 książę Adam Czartoryski oddał się do rozporządzenia rządu narodowego i tem samem zaznaczył, że usiłowania ówczesne o zdobycie niepodległości żądały od każdego Polaka ofiary z przekonań publicznych, nikt nie śmiał się wtedy przyznać do jakiegokolwiek udziału w tej osławionej publikacji. Znikła ona w niezaszczytny sposób z domów obywatelskich, jak znikła i z handlu księgarskiego, a Trentowski, czując ostre wyrzuty sumienia polskiego, przybył do Poznania w r. 1848, wyznał publicznie swoją winę i, jak świadczy w swych pamiętnikach Guttry, odwołał wszystko, co pod pseudonymem Ojczyźniaka na potępienie uwięzionych w Berlinie patrjotów napisał.

Obydwa te połączone ze sobą przyczynowym związkiem epizody z życia Trentowskiego wydają nam się nietylko niezbędnem uzupełnieniem biografji filozofa. ale wręcz nieodzownym przyczynkiem do zrozumienia stosunków filozofa z krajem, przyczynkiem, który, niestety, dodatnio o Trentowskim nie świadczy.

Dr. K. R.

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.